

W blasku utraconego świata, cz. II

Sukcesja i zmierzch



Jarosław Smiechowicz
Andrzej Nitek

**W blasku
utraconego
świata cz. II**

Sukcesja i zmierzch



W blasku utraconego świata **cz. II**

Sukcesja i zmierzch

Jarosław Śmiechowicz
we współpracy
z Andrzejem Nitkiem



Żywocin 2023



- Nie patrzę na tych nieszczęś-
ników jak na Rosjan, Niemców
czy Polaków, patrzę jak na ludzi.
Po prostu.

Rozdział 1

O d czasu owego tragicznego dnia, kiedy to niespodziewanie do moszczenickiego dworku dotarła informacja o śmierci Teodora, świat Heleny Ender przestał istnieć. Twórca moszczenickiej manufaktury odszedł z tego świata, pozostawiwszy doczesność na pastwę losu. Jego żona, związana z nim przez dziesiątki lat, straciła opiekuna i przyjaciela, którego nikt z żyjących nie był w stanie zastąpić. Pogrążona w smutku, izolowała się od świata i ludzi. Dla niej pałac jakby opustoszał, mimo nieustannie krzątającej się w nim służby. Wsparcie najbliższych było jedynym lekiem na zranione serce. W samotności jednak siłowała się z własnymi myślami. Wracając do wspomnień, utrwalała w sobie cząstkę przeszłości – dobrego życia z ukochanym mężem. Blask wschodzącego słońca ni światło srebrzystego księżyca nie dawały ukojenia. Przygasł w niej płomyk radości. W końcu widok samotnej kobiety na balkonie Enderowskiego dworku stał się codziennością. Wpatrzone w przestrzeń ogrodu, błędziła wzrokiem pośród alejek i rozłożystych drzew. Zdawało się, jakby kogoś wyczekiwała.



Z czasem jednak, kiedy liście na drzewach zaczęły żółknąć, a ją coraz częściej owiewał wiatr i moczyły krople deszczu, zaczęła powoli godzić się z tragiczną rzeczywistością i odnajdywać równowagę.

Kłębiące się w głowie myśli o przeszłości ukryła głęboko w swym sercu.

W końcu pewnego dnia wydała służbie polecenie, by przyszykowano rodzinne spotkanie. Powstało więc w dworku poruszenie i choć na niedzielnym obiedzie mieli być tylko bliscy, służba potraktowała sprawę niezwykle poważnie. Porządki i przygotowania ożywiły rezydencję.

Kiedy kilka dni później w oddali dzwonnica moszczenickiego kościoła dźwiękiem przywoływać zaczęła na poranną mszę, a ludzie z familijnych domów ruszyli w kierunku świątyni, we dworze krzątano się od samego świtu. Stefan, syn Teodora, był już na miejscu. Niebawem zjechali jego bracia: Karol i Theodor, tuż przed południem zjawiała się także siostra Irena Augusta. Zebrawszy wokół siebie dzieci, Helena oznajmiła:

– Mieliśmy już trochę czasu, by się oswoić z tym, co nas dotknęło. Zdaję sobie sprawę, że waszego ojca nie zastąpi mi nikt inny. Trzeba jednak żyć dalej. Co prawda rodzinne sprawy układają się bez większych problemów...

Stefan przytaknął bez słowa, a Karol wtrącił:

– Fabryka pod nadzorem naszego brata pracuje bez zarzutów. Stefan wiele nauczył się przy ojcu.

Matka kontynuowała:

– Wiem, jednak musimy uregulować prawnie wszystkie sprawy. Od pewnego czasu dzielę swój czas między Moszczenicę a Pabianice. Chciałam więc wam oznajmić, że zamierzam przeprowadzić się tam na stałe, by być bliżej męża.

Theodor powiedział:

– Tacie już mama nie pomoże.

Helena odparła:

– Wiem, drogie dziecko, wiem. Ale chcę móc częściej odwiedzać jego mogiłę.

– Oczywiście – zawtórowali.

Ona zaś, ocierając wilgotne powieki, kontynuowała:

– Chciałabym, byście zastanowili się, jak podzielić się majątkiem i w jaki sposób zarządzać tym wszystkim.

W tym momencie głos zabrał Stefan:

– Oczywiście, mam. Trzeba będzie zwołać akcjonariuszy, prawników i dokonać regulacji. Ja, jako że od dawna zajmowałem się przy ojcu moszczenicką wytwórnią, chciałbym tu pozostać i kontynuować jego dzieło.

Nie było sprzeciwu, toteż Helena podsumowała:

– Skoro tak, to i gospodarstwem zając się powinieneś, ja swoje udziały chętnie ci powierzę.

Odparł:

– Mam pewne plany co do gospodarstwa, ale o tym później, kiedy będziemy wiedzieli, co kto ma robić.

Karol wtrącił żartobliwie:

– Stefan tak wrósł w tę ziemię, że chyba nie widzi dla siebie innego miejsca. Wszędzie go pełno: w kościele, straży ogniowej, orkiestrze, szkole i stowarzyszeniu sportowym.

Stefan równie radośnie objaśnił:

– Wiesz, Karolu, że my do innego kościoła należymy. Tu, w Moszczenicy z księdzem jestem zaprzyjaźniony, to porządny człowiek, bywa, że na kieliszek zajrzę. Temat polowań księdzu też nieobcy, więc mamy o czym rozprawiać.

Helena dodała:

– Ksiądz Stanisław Kieler to pierwszy prezes tutejszej drużyny strażackiej.

Stefan ją poprawił:

– Nie drużyny strażackiej, mam, ale straży ogniowej. Od 1918 roku, od kiedy założył ją nasz ojciec. Ja zaś jestem jej naczelnikiem.

Theodor podchwycił radosny nastrój i ze śmiechem dodał:

– Oj, to wielebny musi na ciebie uważać, byś go z posady nie wygryzł.

Wszyscy roześmiali się i spotkanie przyjęło nieco weselszą formę. Stefan odparł:

– Od czasu, kiedy ojciec podarował straży tę drewnianą szopę, mieszkańcy pomiędzy sobą organizują składki i zabiegają o sprzęt strażacki. Widzieliście pewnie, jak niekiedy koło stawu,

przy kapliczce św. Jana ćwiczą zaciekle godzinami, by podnosić sprawność i swoje umiejętności.

Karol potwierdził:

– Tak, to był dobry pomysł. Ludzie czują się bezpieczniej, a młodzi – bardziej potrzebni.

Tego popołudnia w dworku u Enderów rozmów nie było końca, wspomnienia mieszały się z terażniejszością. Sprawa sukcesji po ukończonym mężu i ojcu wydawała się uregulowana.

Jak ustalili, tak też się stało. Fabryka przeszła na własność dzieci i zmieniła swoją nazwę na Moszczenicka Manufaktura Teodor Ender i Sukcesorzy.

Jeszcze przed końcem roku dziedziniec pabianickiej manufaktury wypełniły automobile. Tego dnia gwar i dyskusje dostojnych gości witanych przez gospodarzy szybko przeniosły się do budynku.

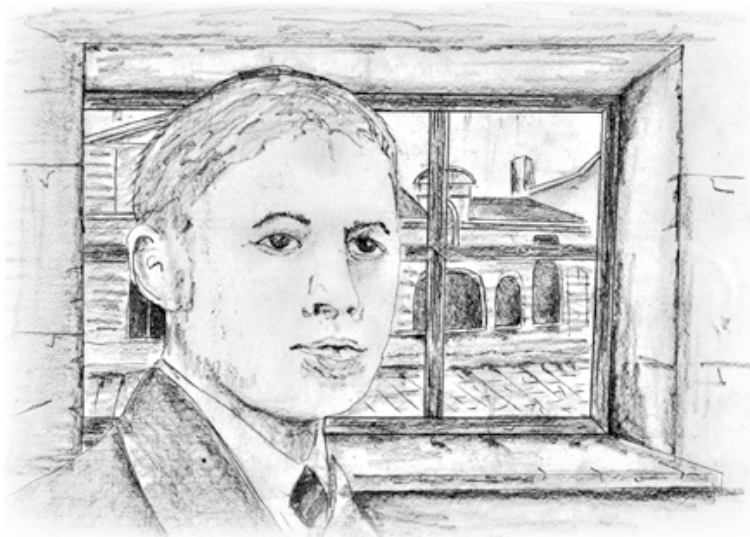
W zaciszu gabinetu w pabianickim biurze Enderów spotkali się prawnicy i sukcesorzy, by ustalić warunki działania fabryki w Moszczenicy. Jako pierwszy głos zabrał Karol:

– Każdy z państwa przybyłych na dzisiejsze spotkanie wie, w jakim celu został tu zaproszony, więc od razu przejdę do konkretów. Po śmierci ojca wszyscy posiadamy jednakowe udziały w majątku. – Zwróciwszy się bezpośrednio do brata, kontynuował: – Jednak ty, Stefanie, najwięcej czasu poświęcałeś na zbieranie doświadczenia, będąc przy naszym zmarłym ojcu, i zgodnie z tym, co ustaliliśmy wcześniej, tobie powierzymy Moszczenicę. Ja z Theodorem obejmujemy nadzór nad pabianickimi włościami. Siostrę zaś naszą spłacimy w kwocie ustalonej wcześniej, zgodnie z umową między nami. Ponieważ ty, bracie, posiadasz wykształcenie rolnicze i zamiłowanie do gospodarzenia, to i gospodarstwo rolne w Moszczenicy zostanie w twoich rękach.

Ten przytaknął na znak aprobaty i odparł:

– Jeśli taka jest wasza decyzja, z dumą przejmę wszystkie obowiązki i zapewniam was, że zarządzał będę tak, by fabryka prosperowała jak do tej pory. – Na chwilę się powstrzymał, jakby chciał dać zebrany czas na przemyślenie i wypowiedź, ale widząc ich aprobatę, kontynuował: – Zakład w Moszczenicy posiada przędzalnię bawełny z około 20 000 wrzecion oraz tkalnię z 600 krosnami.

Chcę, by fabryka organizacyjnie usamodzielniała się, stworzyła niezależną od zakładów pabianickich administrację oraz prowadziła samodzielną sprzedaż. Produkowane tu półfabrykaty, tzw. biały towar taki jak pościele i bielizna osobista, kierowane będą do dalszej obróbki do pabianickiej fabryki. Nadzór nad produkcją pozostawię oczywiście w rękach naszego wieloletniego i doświadczonego Paula Petzolda.



Theodor podsumował:

– Zgoda więc między nami. Pozostawmy czas panom prawnikom, by sporządzili odpowiednie dokumenty, coby cały proces przebiegał zgodnie z prawem. Zobowiązuję też panów do złożenia odpowiedniej dokumentacji do urzędów państwowych, by prawnie usankcjonować nasze tutaj ustalenia.

Szybko się okazało, że pozostanie na polskiej ziemi, w młodym państwie przynosiło owoce. Chłonny rynek przyswajał wszelką wyprodukowaną ilość surowca. Nowe kontrakty sprawiały, że okres wojennego przestoju powoli się rekompensował. Sprzyjające warunki powodowały, że fabryka w Moszczenicy rozwijała się prężnie. Napływało coraz więcej ludzi chętnych do pracy w fabryce i starających się osiąść na ziemi moszczenickiej. Ludzie szukali kwater do wynajęcia,

inni – ziemi pod budowę domostwa. Dynamiczny rozwój okolicy sprawił, że ludności napływowej było więcej niżli rodowitych. Szybko jednak stali się wspólnotą.

Pewnego dnia jeden taki obcy zjawił się u Michała Głowackiego w stolarni. Rozglądał się po warsztacie, niczego nie zamawiał, więc chłopak, co to u Głowackiego przyuczał się do fachu, chciał się intruza pozbyć, ale tamten jedynie z właścicielem rozmawiać chciał. Wyszedł na podwórze i tam cierpliwie czekał. Nalegał, więc w końcu Michał oderwał się od roboty i wyszedł przed stolarnię.

– Słucham pana, w czym mogę pomóc? – zapytał.

Na to mężczyzna odpowiedział:

– Pozwoli pan. Jestem, powiedzmy, przedstawicielem pewnej organizacji, która poszukuje pańskiego brata Antoniego.

Michał spojrzał spode łba na delikwenta i zapytał:

– Tajna policja? Nazywa się pan jakoś?

Obcy jakby nie słyszał pytania:

– Przysłano mnie tu, abym wywiedział się o nim.

Stolarz dopytał:

– Więc skąd szanowny pan wie, że mam brata o takim imieniu?

Tamten na to rzekł:

– Spotkałem już pańskiego brata przed laty i teraz szukam z nim kontaktu, wdzięczni byśmy byli, gdyby mógł pan pomóc.

– Skoro zna pan mojego brata sprzed lat, to wydaje mi się, że z wojaczki, bo nie jest tajemnicą, że mój brat jedynie na tym rzemiośle się wyznaje.

Lekki uśmiech zawitał na twarzy obcego. Skwitował:

– Powiedzmy, że o to chodzi.

Michał odpowiedział:

– Brat mój, wojak z krwi i kości, w carskiej armii, a potem z bolszewikami walczył. Stracił na wojnie swoją ukochaną.

– Inę Neundel, córkę majstra z fabryki – wtrącił rozmówca. – Panie świeć nad jej duszą.

Stolarz, zaskoczony aż taką wiedzą tamtego, zlustrował go podejrzliwie. Dla pamięci o Inie znak krzyża na piersi wykonał, po czym rzekł:

– Dużo pan wie o moim bracie, może więcej ode mnie.

Na to przybysz:

– Pytam tu i tam, taka moja profesja. – Położył rękę na ramieniu Michała i łagodnym, spokojnym głosem oznajmił: – Zależy mi, by waszego brata odnaleźć. Złych zamiarów nie mam.

Michał westchnął, a po chwili zastanowienia dodał:

– Od tamtego czasu, kiedy ona... kiedy zginęła... – złapał powietrza by kontynuować: – Był ranny, nawet jej nie pogrzebał. Brat mój stał się innym człowiekiem. Wrócił z wojaczki, ale jakby bez duszy. Nie zagrażał miejsca. Odszedł w świat i nie daje znaku życia. Nie wiem, gdzie jest i czym się zajmuje, nie wiem nawet, czy w ogóle jeszcze żyje.

Przybysz wysłuchał go uważnie i odszedł, pozostawiając w sferze domysłów cel swojej wizyty.

Rozdział 2

Stanisław Łaski zbudził się nieco odrętwiały. Wyprostował ręce i poruszył palcami dłoni, zaraz też otworzył oczy. Kształty, które majaczyły w szarości, pozwoliły rozpoznać miejsce, w którym się znajdował. Słyszając oddech kobiety, uświadomił sobie, że ze snu powrócił na jawę. Delikatnie odsunął pierzynę i usiadł na posłaniu. Słoma w sienniku jednak zaszeleściła, a szmery zbudziły Apolonię. Zapytała:

– Znowu coś ci się przyśniło?

Westchnął, a po chwili odparł:

– Moja droga, kolejny raz wracałem z niewoli. Szedłem tą samą drogą i choć byłem już u kresu sił, nie mogłem się zatrzymać. Znow śniła mi się ta mordęga.

Kobieta położyła dłoń na ciele męża i spokojnym głosem oznajmiła:

– To tylko sen, już po wszystkim.

– Masz rację – wyszeptał i podniósł się z łóżka. Powolnym, niepewnym krokiem zbliżył się do drzwi, chwycił za skobel i go poderwał. Rozległo się skrzywienie. Był już jedną nogą w sieni, gdy wymamrotał:

– Wyjdę na podwórze, świeżego powietrza mi potrzeba.

Ona z troską dodała:

– A odziej się, chłód z rana.

Świt nadchodził i już szarzało. Światło poranka mieszało się z ustępującym blaskiem księżyca. Stanisław wypatrzył kubrak w mrocznej sieni, chwycił odzież z wieszaka, a zarzuciwszy ją na plecy, przeciągnął się i ziewnął. Rześkie wrześnie powietrze szybko otrzeźwiło go z sennego marazmu. Oparłszy się o drewniany płot odgradzający podwórze od uprawnego pola, dostrzegł nieopodal w srebrzystej poświacie zachodzącego księżyca kilka przemykających cieni. Spłoszone jego widokiem czmychnęły w najbliższe zarośla.

– Sarny – mruknął. Pies zaczął szczekać, ale gospodarz rychło go połajał: – Spokój, leżeć! Jak się skradały, nie słyszał, teraz się odzywa!

Zwierzę spuściło łeb i pokornie powędrowało do budy, ciągnąc za sobą pobrzękujący łańcuch. Stanisław przeniósł wzrok dalej, w stronę rzecznej doliny. Wolbórka ukryta w szarej mgłę bezszelestnie wiła się pośród łąk i bagien. I choć z oddali jej koryta nie było widać, jedynie czubki wyschniętych drzew przebijały się ponad srebrzystoszarą powłokę, on wiedział, że tam jest. Ukryta we mgłę rzeka.

Od czasu, kiedy pożegnał Antoniego, minęło już kilka lat, ale wciąż mgła przypominała mu o przyjacielu. To dzięki niemu przeżył powrót z tureckiej niewoli. To dzięki Antoniemu może oddychać świeżym powietrzem. Zatopiony we wspomnieniach nie zauważył, że za jego plecami stanęła Apolonia. Jakby znała jego myśli, szepnęła:

– Stasiu, tamten świat, jak mijający czas, utracony został na zawsze. Antek poszedł swoją drogą i tego już nie zmienisz.

– Wiem, moja droga, wiem – odparł. – Niczego nie chcę zmieniać. Ale za każdym razem, kiedy przychodzą w nocy sny, budzą się we mnie wspomnienia. – Nie odrywając wzroku od szarości, zapytał: – Skąd wiedziałaś, mądra kobieto, o czym myśle?

Uśmiechnęła się i odparła:

– Intuicja, mężu, no i znam cię już dobrze.

Stanisław pokiwał głową:

– Poniekąd ciekaw jestem, co się z nim stało. Gdzie jest? Czy jeszcze żyje?

Ona skwitowała:

– Nie znam odpowiedzi na te pytania. Nakarm się wspomnieniami i wracajmy do chałupy. Nim zaczniemy wykopki, trza coś zjeść.

Natychmiast się zreflektował:

– Powspominam innym razem. To ty przygotuj coś pożywnego, a ja zrobię, co należy, by ze świtem ruszyć w pole.

Zaraz też pomaszerował w kierunku obory. Stamtąd konia wyprowadził, opatrzył go i do furmanki zaprzągnął. Gdy na wozie znalazły się worki, kosze, motyki i widły, wrócił do chałupy.

Apolonia zbudziła już dzieci. Najstarszy Roch przemył twarz zimną wodą i zaraz ruszył matce do pomocy. Piotr i Wacław, jej dzieci z poprzedniego małżeństwa, szybko przyłgnęły do Stanisława, który przecież traktował je jak własne. Mała Stanisława, którą urodziła mu Apolonia, niedawno zaczęła chodzić, więc choć niepewnie, wdierała się w każdą szczelinę izby i zajmowała wiele czasu rodzicielce, by ją upilnować.

Nim poranne słońce rozproszyło mgłę, Łascy jechali już w kierunku kartofliska. Ziemi po zmarłym mężu Apolonii było szmat i choć była do jakiegoś stopnia zadłużona, Stanisław długi regulował i wspólnie z małżonką na swoim gospodarzyli. W oddali majaczył kościół w Wolborzu. Ludzie z okolicy to na swoje, to na pańskie włości do roboty przy wykopkach jak na komendę w pola wyruszyli.

Rychło kobiety motyki w dłonie chwyciły i na redlinach się rozstawiły. Stanęły okrakiem i zaczęły rozgarniać ziemię, wywalając wraz z łęciami ziemniaki różnych wielkości. Gawiedź zbierała je do koszyków, a gdy już były pełne, gospodarze odnosili urobek i pakowali go na wozy. Młodzieńcy, widząc na sąsiednich stajach dziewczki, w zalotnych gestach i dla zwrócenia na siebie uwagi obrzucali je dyskretnie pecynami – skrawkami zeschniętej ziemi, która po trafieniu w cel rozbryzgiwała się, nie czyniąc żadnego bólu ofierze. Dziewczęta w ten sposób traktowane ziemniakami w chłopców rzucały, ale tak, by starsi nie zauważyli,

bo to marnotrawstwo urobku groziło złajaniem. Z krótkimi przerwami na posiłek, praca na kartoflisku trwała cały dzień.

Gdy już wóz był pełen ziemniaków, przebrnąwszy całe pole, gospodarz odprowadził zaprzęg na trawiaste wzniesienie. Stanisław konia od furmanki odpiął, mrużąc do zwierzęcia:

– Naciągnąłeś się, teraz poskub trawy.

Koń, jakby rozumiejąc słowa gospodarza, parsknął kilka razy i posłusznie pomaszerował ku pierwszym zielonym źdźbłom trawy. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, dając znać, że robotę należy już przerwać.



Pod wieczór, niczym na komendę, snopy dymu ku niebu gęsto nad polami zaczęły się wznosić. Suche łąciny wypalając, ludzie kartofle w żar ognia wrzucali. W międzyczasie gospodynie rozłożyły na trawie serwety, na których dzbanki z wodą oraz mlekiem postawiły. Kromki chleba układając z wielkim namaszczeniem, by żaden okrucz na ziemię nie spadł, czekały na pieczyście. A kiedy ognisko przygasło, wszyscy, którzy w wykopkach uczestniczyli, kijami gorące, upieczone ziemniaki wygrzebywali i zjadali je z apetytem. Przy tym plotki wspólnie z opowieściami o dawnych czasach się mieszały.

W gospodarstwie rolnym Enderów wrześniowe dni wypełniała gorączka polowych zbiorów. Zarówno zatrudnieni na stałe, jak i okresowo najemni robotnicy w pola wyruszali. Było ich około dwustu osób. Wykopki, magazynowanie ziemniaków, buraków i marchwi wymagały zaangażowania wielu rąk. Do takiej pracy zatrudniła się Antonina Porczyńska ze wsi Jarosty. Niemal każdego dnia młoda dziewczyna ścieżką leśną wzdłuż torów kolejowych szła w stronę gospodarstwa. Mijając dom dróżnika na Batorówce, myślała sobie o jego mieszkańcach. Znała Felka i Janka Śmiechowiczów, ale oni po śmierci ojca wyprowadzili się i choć mieli niedaleko, to rzadko się widywali. Wspominając dziecinne igraszki, rzuciła okiem na podwórze, ale nie było na nim śladów ludzkiej egzystencji. Maszerując dalej skrajem lasu wzdłuż pól, rychło dotarła do celu. Niebawem była już w cegielni, przy której od samego świtu krzatali się robotnicy.

Przez jakiś czas dom dróżnika żelaznej kolei na Batorówce stał pusty. Po śmierci Rocha Marianna poszła do syna Władysława, który był piekarzem w Kosowie, gdzie dokonała swego żywota. Pozostałe dzieci Rocha rozpieczętowały się po okolicznych wioskach, niczym ptaki wypchnięte z gniazda niewidzialną siłą natury ku dalszemu samodzielnemu życiu. I tak począwszy od Jarost poprzez Moszczenicę, Kiełczówkę, Świątniki i Zakrzew, potomkowie dróżnika osiedlali się i zakładali rodziny. Felek z Jankiem przez czas jakiś zajęcia szukali. Ten pierwszy w cegielni moszczenickiej posadę znalazł i niebawem osiadł w Jarostach. Janek po ojcu zamiłowanie do kolei przejawiał, ale posady wśród braci kolejarskiej znaleźć nie mógł. Z nadzieją, że nadarzy się kiedyś okazja, innego zajęcia szukał. Początkowo w lesie przy wycince drzew pracował, często na Enderów drzewostanie. Z czasem w gospodarstwie Stefana znalazł zajęcie.

Ciężka praca nie przeszkodziła mu dostrzec Antoniny. Dziewczyna z pracy w polu szybko została przeniesiona do dworu, gdzie była i pokojówką, i pomocą w kuchni. Tu ścieżki Jana i Antoniny skrzyżowały się ponownie. Odnowione relacje z lat dziecinnych zaczęły przybierać zupełnie inny kształt. Tak też z czasem on, wracając z roboty, Antoninę do samych Jarost odprowadzał i snuł pośród dębów marzenia

o przyszłości. Mijały dni, potem miesiące, aż pomiędzy tymi dwojga miłość zakwitła.

Rozdział 3

Dawno już ucichły odgłosy ostatniej wojny. Przygasły pożary, opadł kurz uciekającej bolszewickiej armii. Rany goić się zaczęły, płacz po poległych ucichł. Jedyne mogił przybyło. Niedaleko stolicy, na jednym z wojennych cmentarzy pewien człowiek spacerował alejkami, co jakiś czas przystając. Rozglądał się bacznie, często spoglądając na zegarek, jakby na kogoś czekał. Okolica była mu znana. Minęło zaledwie kilka lat od czasu, gdy z karabinem w dłoniach wypełniał swój żołnierski obowiązek w bojach z sowieckimi wojakami. Ciężkie walki z bolszewikami nasączyły tę ziemię krwią, naznaczyły dziesiątkami cmentarzysk i setkami grobów. W każdą rocznicę tych walk on powracał do tych miejsc i czekał. Wtedy właśnie przybywali tam bliscy poległych, by uronić łzę nad mogiłą, ale zjawiało się też wielu weteranów tamtych zmagañ. Ów człowiek spędził kilka dni, nocując na plebanii zaprzyjaźnionego już proboszcza. I tym razem zdawało się, że odjedzie zawiedziony.

Pożegnawszy się z dobrodziejem, pomaszerował alejką cmentarną w kierunku kolei. Na skraju cmentarzyska zatrzymał się jeszcze na chwilę. Upał doskwierał, więc zdjął marynarkę i nim przewiesił ją przez rękę, ospale wyciągnął z kieszeni papierosa. Odpalił i zaciągnął się kilka razy, obserwując wypuszczany z ust dym tytoniowy. Wtem w oddali dostrzegł mężczyznę, który – mimo gorączki – odziany w długi płaszcz, przechadzał się pomiędzy krzyżami, bacznie wpatrując się w napisy na nich. Obserwator przypomniał sobie tę sylwetkę i ożywił się nieco. Nie był jednak jeszcze pewien, więc powolnym krokiem zaczął zbliżać się do tamtego, który odwrócony tyłem, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Zrodziła się w nim nadzieja,